

# Wangel Durlow

Z Grecji do Polski



opracowanie

Anna Kurpiel

[Wrocław]

Wrocławski Rocznik  
Historii Mówionej  
Rocznik II, 2012  
ISSN 2084-0578

Wangel Durlow jest jednym z ok. 15 tysięcy uchodźców greckich i macedońskich, którzy w wyniku klęski komunistycznych sił w greckiej wojnie domowej (1946–1949) trafili do Polski<sup>1</sup>. Uchodźcy wojenni nie byli grupą

---

<sup>1</sup> Polska nie była jedynym krajem przyjmującym uchodźców z Grecji. Uchodźcy zostali przyjęci także w Jugosławii (głównie Macedończycy), Rumunii, Bułgarii, Czechosłowacji, ZSRR (Taszkencie i Chirchiku) oraz niewielka liczba dzieci w NRD. Emigracją wojenną z Grecji zajmują się m.in. Riki van Boeschoten (R. v. Boeschoten, „Unity and brotherhood”? *Macedonian political refugees in Eastern Europe*, „History and Culture of South Eastern Europe – An Annual Journal”, nr 5:2003, s. 189–202); Keith Brown (K. Brown, *Macedonia's Child-Grandfathers: The Transnational Politics of Memory, Exile and Return 1948–1998*), Washington 2003), Michael Flemming (M. Flemming, *Greek 'heroes' in the Polish People's Republic and the geopolitics of the Cold War 1948–1956*, „Nationalities Papers” nr 3:2008, s. 375–397), Miladina Monova (M. Monova, *De la logique de retour à la logique d'établissement. Le cas des réfugiés de la Guerre Civile Grecque en République de Macédoine*, „Études Balkaniques: L'outres dans le Sud-Est Européen” 2002, nr 9, s. 75–92; *eadem*, *Parcours d'exil, récits de non-retour: les Egéens en République de Macédoine*, praca doktorska obroniona w Paryżu w 2002 r., kopia w posiadaniu A.K.), Stefan Troebst (S. Troebst, *Die „Griechenlandkinder-Aktion“ 1949/50. Die SED und die Aufnahme minderjähri-*

jednolitą. W ich obrębie znajdowały się zarówno dzieci, jak i dorośli: partyzanci Demokratycznej Armii Grecji<sup>2</sup>, członkowie Komunistycznej Partii Grecji oraz ich rodziny. Uchodźcy wysiedleni, ewakuowani bądź uciekający, przeważnie z terenu północnej Grecji, osiedlani byli na zachodnich terenach Polski – głównie na Dolnym Śląsku – w Zgorzelcu, Bielawie, Jeleniej Górze, Legnicy, Lubaniu, Wrocławiu i okolicach – później także w okolicach Szczecina, w Bieszczadach oraz w innych większych miastach Polski (Warszawa, Kraków, Gdańsk)<sup>3</sup>. Pierwsze do Polski przybyły transporty ewakuowanych w trakcie wojny dzieci – w październiku 1948 r., w kwietniu 1949 r. oraz w czerwcu 1949 r.<sup>4</sup> Przeważającą większość dorosłych przybyła do Polski w latach 1949 i 1950 drogą lądową – pociągami – przez Bułgarię, Jugosławię, Węgry, Czechosłowację i Rumunię lub drogą morską z portów w Albanii do Gdańska, Świnoujścia lub Dziwnowa<sup>5</sup>. Organizacja przyjęcia, zakwaterowania i opieki nad uchodźcami ze strony Polski opatrzona była kryptonimami Akcja „S” – „Specjalna” i „G” – „Grecka” oraz objęta ścisłą tajemnicą państwową<sup>6</sup>. Opiekę nad przybyszami powierzono formalnie Lidze Kobiet.

---

*ger Bürgerkriegsflüchtlinge aus Griechenland in der SBZ/DDR*, „Zeitschrift für Geschichtswissenschaft” nr 8: 2004, s. 717–736) oraz Fana Martinova-Bučkova (F. Martinova-Bučkova, *I nie sme deca na majkata zemja...*, Skopje 1998). Losy uchodźców z Grecji w Polsce badali m.in. Mieczysław Wojecki (M. Wojecki, *Uchodźcy polityczni z Grecji w Polsce 1948–1975*, Jelenia Góra 1989), Maria Biernacka (M. Biernacka, *Osady uchodźców greckich w Bieszczadach*, „Etnografia Polska” 17: 1973, z. 1, s. 83–93), Kazimierz Pudło (K. Pudło, *Uchodźcy polityczni z Grecji w Polsce (1948–1995)*, [w:] *Mniejszości narodowe w Polsce*, red. Z. Kurcz, Wrocław 1997); Ewa Nowicka (E. Nowicka, *Hermes, Odyseusz i greckie powroty do ojczyzny*, Kraków 2008) oraz Anna Kurpiel (A. Kurpiel, *Uchodźcy z greckiej wojny domowej na Dolnym Śląsku – zarys problematyki*, [w:] *Ziemia Zachodnie – historia i perspektywy*, red. W. Kucharski, G. Strauchold, Wrocław 2012, s. 157–169).

<sup>2</sup> DAG – formacja wojskowa greckich komunistów w trakcie greckiej wojny domowej.

<sup>3</sup> Rannych umieszczano natomiast w szpitalu na Wyspie Wolin, o którym Władysław Barcikowski, ówczesny lekarz, napisał książkę *Szpital grecki na Wyspie Wolin*, Szczecin 1989.

<sup>4</sup> W. Koczyński, *Dzieci macedońskie w Polsce*, kopia rękopisu w posiadaniu autorki.

<sup>5</sup> Por. M. Wojecki, *op. cit.*, s. 21.

<sup>6</sup> Por. *Macedońscy uchodźcy w Polsce. Dokumenty 1948–1975*, t. 1–2, Skopje 2008, s. 20.

Uchodźcy z Grecji nie byli także grupą jednolitą narodowościowo. Wśród nich – tak samo, jak w oddziałach DAG – znajdowali się Grecy, Macedończycy – Słowianie mieszkający w północnej Grecji, oraz Kucowołosi – ludność pochodzenia romańskiego, jedna z reliktowych grup etnicznych zamieszkująca półwysep bałkański. Według danych przytoczonych przez Arkadiusza Słabiga w 1955 r. przebywało w Polsce 15 215 uchodźców z Grecji, w tym 7410 Macedończyków, 7357 Greków i 448 Kucowołochów<sup>7</sup>.

Zróżnicowanie narodowościowe nie sprzyjało jedności uchodźców z Grecji na obczyźnie. Macedończycy, w okresie stalinowskim prześladowani za rzekomą kolaborację z Jugosławią i Titem – będącym w tamtym czasie podstawowym wrogiem zarówno KPZR, jak i KPG<sup>8</sup>, masowo opuszczali Polskę – początkowo do Bułgarii, później, po 1956 r. do Jugosławii, która z powodu braku możliwości powrotu do „małej ojczyzny” stała się dla Macedończyków z Grecji „ojczyzną ideologiczną”, zamieszkałą przez ich rodaków. Tak było w przypadku rodziców Wangela Durlowa, którzy co prawda do Jugosławii dostali się bezpośrednio z Grecji, jednak postanowili tam pozostać i połączyć porzucaną po krajach bloku wschodniego rodzinę.

Wywiad z Wangelem Durlowem przeprowadziłam w ramach badań do mojej pracy doktorskiej na temat uchodźców narodowości macedońskiej, którzy przybyli do Polski z Grecji. Wszystkie te wywiady<sup>9</sup> – także i ten – utrzymane są w koncepcji *oral history* – historii mówionej, lub historii opowiedzianej<sup>10</sup>. *Oral history*, traktuję za Piotrem Filipkowskim, jako

<sup>7</sup> A. Słabig, *Aparat bezpieczeństwa wobec mniejszości narodowych na Pomorzu Zachodnim w latach 1945–1989*, Szczecin 2008, s. 314.

<sup>8</sup> Odstępstwo Josipa Broz Tity od polityki narzuconej przez Stalina i jego własna wizja komunizmu, doprowadziły w 1948 r. do kryzysu w stosunkach radziecko-jugosłowiańskich, a następnie do wykluczenia Tity z Kominformu. Związek Radziecki poparły m.in. Rumunia, Bułgaria i Komunistyczna Partia Grecji. Tito zaprzestał więc udzielania pomocy Grekom z DAG, którzy wkrótce przegrali wojnę. Tym samym został on oskarżony nie tylko o plan zburzenia jedności bloku wschodniego, ale i o przegraną komunistów w greckiej wojnie domowej (por. m.in. W. Pronobis, *Świat i Polska w dwudziestym wieku*, Warszawa 1990; *Macedońscy uchodźcy...*, t. 1.

<sup>9</sup> Dwadzieścia z nich znajduje się w archiwum Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”, sygn. od AHM-50 do AHM-69.

<sup>10</sup> Takie tłumaczenie – tj. „historie opowiedziane” – proponuje Marta Kurkowska-Budzian, argumentując: „Myślę, że ta nazwa oddaje także potencjał analitycznych moż-

„samoświadomą, poddaną pewnej dyscyplinie rozmowę między dwoma osobami na temat niektórych aspektów (doświadczeń) przeszłości, uważanych za historycznie istotne, prowadzoną z zamiarem jej zarejestrowania”<sup>11</sup>. Najistotniejszy aspekt tego typu relacji to rezygnacja ze standardowego kwestionariusza, pozostawienie zupełnej swobody mówiącemu/opowiadającemu. Zarejestrowana opowieść, a także jej transkrypcja, staje się źródłem do dalszych badań. Stąd w relacjach redakcja zastąpiona jest wyjaśnieniami w przypisach, gdyż każda ingerencja w tekst jest równocześnie ingerencją w źródło (historyczne, etnologiczne, językoznawcze itp.).

Wywiad z Wangelem Durlowem jest jednym z najmilej wspominanych przeze mnie spotkań. Naszej rozmowie towarzyszyła żona pana Durlowa, nieraz wtrącając kilka słów od siebie, oraz kot, który, ku oburzeniu całej macedońskiej rodziny, ma na imię Tito. Pan Wangel, mimo że w czasie wojny był dzieckiem, nie został ewakuowany jak jego rówieśnicy w 1948 r. w transportach dziecięcych organizowanych przez Komunistyczną Partię Grecji w porozumieniu z krajami bloku socjalistycznego, lecz rok później, już po skończeniu wojny wraz z dorosłymi partyzantami i ludnością cywilną uciekł do Albanii, następnie drogą morską do Polski. Odłączony od rodziców, którzy przebywali na terenie Jugosławii, mieszkał w Państwowych Ośrodkach Wychowawczych, zorganizowanych przez Ministerstwo Oświaty placówkach dla dzieci z Grecji, jak i w polskich domach dziecka, skończył technikum rolnicze w Cieszynie, gdzie poznał swoją obecną żonę. Mimo próśb rodziców nie zdecydował się na wyjazd z Polski.

Mimo że historia Wangela Durlowa dotyka spraw tragicznych, wręcz traumatycznych – wojna, samotne życie w Grecji, oderwanie od rodziców, niepewność własnego losu, on sam opowiada o swoim życiu lekko i z dowcipem. Dużo miejsca w relacji zajmuje opis starań rodziców o ponowne złączenie rodziny, z przytoczeniem treści dokumentów wysyłanych w tamtym czasie, oraz opowieść o pierwszej wyprawie do Jugosławii, by po 16 latach rozłąki spotkać się z rodzicami. Możemy dowiedzieć się wiele o życiu i mentalności Macedończyków, zarówno na podstawie opowieści z okresu wojny domowej, jak i późniejszych spotkań z rodzica-

---

liwości – od badań treści opowiedzianych historii do badań ich formy” – M. Kurkowska-Budzan, *Antykomunistyczne podziemie zbrojne na Białostocczyźnie*, Kraków 2009, s. 32.

<sup>11</sup> P. Filipkowski, *Historia mówiona i wojna. Doświadczenie obozu koncentracyjnego w perspektywie narracji biograficznych*, Wrocław 2010, s. 21.

mi, na których pan Wangel patrzył oczami człowieka wychowanego i wykształconego w Polsce, dostrzegając wiele różnic między kulturą polską, w którą wrósł, a macedońską lub „bałkańską”.

Pan Wangel Durlow mieszka do dziś w Cieszynie, jest szczęśliwym ojcem i dziadkiem. Podobnie jak wielu innych Macedończyków, nigdy nie odwiedził opuszczonej po wojnie rodzinnej miejscowości.

### **Relacja Wangela Durlowa:**

Więc tak. Ja się urodziłem w 1937 r., 18.02.1937 r., w wiosce, to w brzmieniu greckim jest Agios Giermanos, a w języku macedońskim German<sup>12</sup>. Ale urzędowym językiem był język grecki. I to jest na samej greckiej granicy, koło byłej Jugosławii. Obok jeziora Prespa – pół jeziora, trochę mniejsze jest w Grecji, a reszta jest w Macedonii. Więc ja się urodziłem w tym German, to możesz napisać Agios Giermanos albo German, ja w dowodzie mam Agios Giermanos. I tak musi być. I w paszporcie też. Więc w greckim brzmieniu ja w zasadzie w metryce mam Durlas Evangelos. W brzmieniu greckim. Bo urzędowym językiem był grecki. A Macedonia to jest tylko taki okręg Grecji. Bo Grecja się dzieli na 9 okręgów i między innymi ten największy okręg jest Macedonia, tu na północy. Myśmy tam mieli trochę od bułgarskiego, trochę od Serbów, taki był pomieszany ten język i był całkiem inny niż grecki. Bo grecki nie należy do słowiańskich narodów, a Macedonia należy do słowiańskich narodów. Więc ten język jest bardzo podobny.

No i w 1937 r. się urodziłem, niestety to jest dość dawno. I proszę ciebie w 1944 r. w grudniu, tak zwana wojna grudniowa<sup>13</sup> w Grecji wybu-

<sup>12</sup> Wieś położona w północnej Grecji, 7 km od jeziora Prespa. Tereny, o których opowiada pan Wangel to Macedonia Egejska, która w wyniku wojen bałkańskich przeszła w ręce Grecji, tworząc jej północną prowincję. Teren ten zamieszkały był w większości przez ludność słowiańską – Macedończyków, a także Żydów, Kucowolochów, Turków i Albańczyków. Za czasów dyktatury Metaksasa (1936–1941) wszystkie mniejszości narodowe zamieszkałe na terenie Grecji, w tym Macedończycy, straciły prawa do własnego języka, szkolnictwa i manifestowania odmiennej tożsamości narodowej. Wszelkie słowiańskie toponimy, a także imiona i nazwiska Macedończyków zostały zgreczone.

<sup>13</sup> Także „dekemvriana” lub „bitwa grudniowa” – walki, które wybuchły w Atenach w grudniu 1944 r. rozpoczęte atakiem komunistycznych oddziałów partyzanckich na stacjonujące w Grecji jednostki armii brytyjskiej, zakończone 12 lutego 1945 r. ugodą w Várkizie (por. A. Brzeziński, *Grecja*, Warszawa 2002; W. Pronobis, *op. cit.*).

chła. W 1944 r. gdzieś w sierpniu opuścili terytorium Grecji Niemcy i w grudniu 1944 r. wkroczyli już Anglicy do Grecji i Anglicy chcieli mieć taką półkolonię dla siebie, bo chodziło im o punkt strategiczny. Grecja ma bardzo dobre położenie, jeśli chodzi o jakieś, jak by była rozróżba wojenna, albo co, to tam te statki budują i tak dalej. Więc rząd się zgodził z Anglikami i rząd powiedział tak – my chcemy być taką półkolonią angielską, że jak by była jakaś rozróżba na świecie, to Anglicy nas będą bronić. Ty nie pamiętasz, ale tu kiedyś było powiedziane w Polsce, że my musimy się Związku Radzieckiego trzymać, bo jak będzie jakaś rozróżba, to nam Związek Radziecki pomoże. Tak to wtedy mówili tu. A w 1944 r. tak mówił rząd grecki. A ta partyzantka, która walczyła przeciw Niemcom, nie zgodziła się<sup>14</sup>. I zaczęła się wojna tak zwana „grudniowa wojna” w 1944 r., która trwała do 1949 r.<sup>15</sup> I to się zaczęło w Atenach. Z jednej strony partyzanci walczyli o komunizm, z drugiej strony rząd z Anglikami i Amerykanami walczyli o kapitalizm, by Grecja była kapitalistycznym państwem. A ci chcieli, żeby socjalistycznym. No więc zaczęła się ta wojna i zaczęła się w Atenach, ale partyzanci byli za słabi i przegrywali tę wojnę, cofali się tu na północ w kierunku, gdzie ja mieszkam. I się tak aż wycofali daleko, ode mnie jakieś może 100 km, 120 km, od mojej wiochy i tam się front utrzymał tych partyzantów od 1944 do 1949 r. W 1949 r. tę wojnę przegrali. Ale w międzyczasie te tereny, które partyzanci zajęli, te północne tereny były zajęte przez partyzantów i z początku partyzanci tylko ochotników brali do partyzantki. Ale tych ochotników było mało, bo kto chciał za darmo przelewać krew i tam ginąć gdzieś po górach? Więc później brali według wieku. Ja będę mówił o sobie. Ja mówię o sobie, ale takich jak ja w moim wieku mniej więcej to było nas około 4–5 tys., Greków stamtąd. Około 5 tys., dokładnie tej sumy nie wiadomo, ale mniej więcej tak mówią.

---

<sup>14</sup> Były to oddziały partyzanckie ELAS – Ludowej Armii Wyzwolenia Narodowego, związanej z EAM (Narodowym Frontem Wyzwoleńcym) utworzonym przez KPG w 1941 r. (por. A.M. Brzeziński, *Grecja*, Warszawa 2002).

<sup>15</sup> Wojna grudniowa zakończyła się w 1945 r., ale była pierwszą oznaką zbliżającej się wojny domowej, trwającej od 1946 do 1949 r. I to o wojnie domowej toczącej się między prawicowym rządem greckim a komunistyczną partyzantką, będzie mowa w dalszej części relacji (por. A.M. Brzeziński, *Grecja...*; R. Clogg, *Historia Grecji nowożytnej*, Warszawa 2006; B. Jelavich, *Historia Bałkanów*, t. 2, Wiek XX, Kraków 2005).

W każdym razie w 1949 r. partyzanci przegrali, ale w 1947 r. brali, tak jak powiedziałem, ochotników, a jak ochotników nie było – brali według wieku. W 1947 r. ojciec mój był jeszcze młody, nie wiem – 45 – w tych latach. Więc wzięli go do partyzantki i tam na front go wysłali, tam był ranny gdzieś na froncie i wywieźli go do byłej Jugosławii, bo była Jugosławia była po stronie komunistycznego obozu, czyli po naszej stronie, po partyzantów. Więc oni nam też pomagali. A że partyzanci nie mieli szpitali tam i dość była prymitywna u partyzantów ta służba medyczna, więc oni wywozili rannych do Jugosławii. Wtedy był taki prezydent Broz Tito, jugosłowiański znany i on tam przyjmował do szpitali. I mojego tatę przywieźli do Bitoli. Tutaj zaraz – 17 km od granicy greckiej do Bitoli<sup>16</sup>. I tam w szpitalu był. Ja z mamą zostałem sam w domu. I brat młodszy o 2 lata. I zostaliśmy sami.

W 1948 r., 1947, 1948, 1949 strasznie bombardowały wojska rządowe te wioski na północy Grecji, a partyzanci nie mieli samolotów, nie mieli czołgów, nie mieli samochodów i trudno było walczyć im z taką siłą. Więc oni bombardowali bezkarnie – można powiedzieć – te wioski i strasznie dużo dzieci ginęło. Dzieci jak to dzieci – zamiast się schować gdzieś tam w piwnicy, to gonili po ulicach a oni z góry kosili karabinami maszynowymi. Zabijali bardzo dużo dzieci. I w 1948 r. główny sztab partyzantów, który walczył w Grecji o komunizm, porozumiał się z krajami „demokracji ludowych”, to są: Czechosłowacja, Polska, Węgry, Bułgaria, Rumunia i Jugosławia<sup>17</sup>. I główny sztab partyzantów porozumiał się z tymi krajami socjalistycznymi, żeby schronić dzieci i dzieci brali od 7 roku do 16 roku<sup>18</sup>, mogli rodzice oddać dzieci i wywieźć je gdzieś do kraju „demokracji ludowej”, po prostu schronić dzieci z tej wojny, żeby dzieci nie ginęło tak dużo. I sobie wyobraź, że rodzice oddawali takie siedmioletnie dzieci, oddawali<sup>19</sup>. Były ogłoszenia... u nas była wioska, ona się nazywała w języku

---

<sup>16</sup> Miasto w południowo-zachodniej części Republiki Macedonii, położone 15 km od granicy z Grecją.

<sup>17</sup> Por. I. Stawowy-Kawka, *Historia Macedonii*, Wrocław 2000; *Macedońscy uchodźcy...*, t. 1.

<sup>18</sup> Według innych relacji od 2 lub 14 roku życia.

<sup>19</sup> Jak słusznie zauważa Ewa Nowicka, „pytanie, czy dzieci znalazły się poza granicami Grecji za zgodą rodziców, jest sprawą nader drażliwą” (E. Nowicka, *op. cit.*, s. 59). Raport UNSCOB (*United Nations Special Committee on the Balkans*) z 1948 r. odpowiada na nie w bardzo ogólny sposób, a mianowicie, że źródła dotyczące tej kwestii

greckim Kalithea<sup>20</sup>, to jest gdzieś około 4 km, 3,5–4 km od mojej wioski i tam była jeszcze kilka wiosek na około. Partyzanci ogłosili, że kto chce z rodziców oddać dzieci to proszę przywieźć ich do tej wioski do rynku i my ich stamtąd zapakujemy do ciężarowych aut i wywieziemy do Jugosławii, a potem z Jugosławii dzielili do krajów demokracji ludowej. I rodzice nie mieli innego wyjścia. Te dzieci kochali. Ale wiedzieli, że mogą zginąć. Domy się paliły, bombardowania były straszne. I oni bezkarnie bombardowali, bo partyzanci mieli artylerię przeciwlotniczą, ale dosyć słabawą, tak, że tam szkody wielkiej tym samolotom nie robili, oni tam nisko schodzili i po prostu zabijali bardzo dużo tych ludzi, szczególnie, tak jak mówię, dzieci, bo dzieci uciekały po ulicy. Dlatego rodzice oddawali i między innymi mama mnie i brata wzięła i też mnie przywiozła do tej wioski tam, do tej Kalithei. Ona się po naszymu nazywa Rudary<sup>21</sup>. To jest od granicy jugosłowiańskiej jakies – ja wiem? – 5 km – nawet nie może, do granicy jugosłowiańskiej, do byłej Jugosławii. Od tego jeziora jakies 4–5 km<sup>22</sup>. I zawiozła nas mama, zaprowadziła nas tam mama do tej wioski. Nie tylko nas – nasza mama – z całej wioski! No i zaprowadzili te dzieci. A ja byłem straszny mamin-synek i strasznie nie chciałem mamę opuścić. I mówię: ja nie idę nigdzie! Jak ciebie nie puszcza to ja nie idę nigdzie! A oni starszych nie puszcza, bo potrzebowali do partyzantki, jako armatnie mięso, a dzieci małe do 15 do 16 roku nie brali do partyzantki, a starszych brali i starszych też nie brali do krajów „demokracji ludowej”. No a brat był bardzo odważny, on powiedział: ja zostaję! I on został tam, ja się z mamą wróciłem do domu.

I jego stamtąd załadowali do ciężarowych aut, przywieźli go do takiej wioski – jest zaraz za granicą, Ljubojno<sup>23</sup> się nazywa, zaraz przy samym je-

---

„są sprzeczne” (za: UNSCOB Report A/574 (1948) s. 30 (Annex II)). Miladina Monova przytacza za Kofosem, że dzieci zabierane były przez partyzantów wbrew woli rodziców, ale „nie we wszystkich przypadkach” (M. Monova, *Parcour...*; E. Kofos, *The Impact of the Macedonian Question on Civil Conflict in Greece (1943–1949)*, „Hellenic Foundation for Defense and Foreign Policy, Occasional Papers”, nr 3, 1989). Fakty przytaczane dalej w niniejszej relacji świadczą, że oddanie dzieci nie było bezwzględnym obowiązkiem rodziców.

<sup>20</sup> Miejscowość w północnej Grecji, na północny wschód od Małej Prespy, w regionie lerińskim, u podnóża góry Bela Voda (za: T.H. Somovski, *Naselenite Mesta vo Egesjka Makedonija*, t. 2, Skopje 1998, s. 173).

<sup>21</sup> Właściwie w języku macedońskim nazwa brzmi *Rudari*.

<sup>22</sup> Chodzi o Jezioro Prespańskie.

<sup>23</sup> Miejscowość w Republice Macedonii, położona przy granicy z Grecją, 2 km od Jeziora Prespańskiego, w regionie Prespa.



ziorze Prespa. Tam moi rodzice potem mieszkali długie lata. Bardzo ładnie tam! Jeździłem 50 lat prawie. W każdym razie oni stamtąd, przywieźli do tej wiochy, do tego Lubojna i tam ich zgromadzili na jakiś krótki czas, tam byli coś 7 czy 8 dni i stamtąd potem zaraz załadowali na auta ciężarowe i wywozili od Bitoli. W kierunku na Skopje pociągiem się jedzie, jest taka miejscowość, nazywa się Braiłowo<sup>24</sup>. I tam w tym Braiłowo był olbrzymi ośrodek wychowawczy i między innymi – to wiem o tym, bo brat tam był i potem opowiadał jak tam było – tam mieli straszny głód, strasznie tam wyglądało i stamtąd ich dzielili. Że tam powiedzmy – 500 dzieci wysyłali do Rumunii, 2000 czy tam 1000 wysłali do Polski, 1000 do Czechosłowacji, do Węgier, do Bułgarii. Część w byłej Jugosławii zostawiali. Tak dzielili te dzieci tam z tego Braiłowa. No a ja z mamą zostałem w domu.

No i w 1949 r. partyzanci wojnę zaczęli przegrywać. Nim przegrali wojnę partyzanci, to brali potem do partyzantki kobiety młode nie do walki, a do robienia okopów. Te – tyraliery się to nazywa, zdaje się, po wojskowemu<sup>25</sup>. Te rowy obronne kopali i na nich kładli takie grube drzewa, żeby po prostu chronić przez strzałami przeciwnika. I tam kobiety brały do kopania tych rowów właśnie. I mamę tam wzięli. I teraz ja zostałem sam w domu. Miałem 13 lat. No więc mamę jeszcze odprowadziłem, było ciepło, nie pamiętam, który miesiąc, ale musiał być maj – czerwiec, bo było bardzo ciepło, ja na osiołku zaprowadziłem ją w tych górach i tam została, zaczęła pracować i kopali te rowy. A ja wróciłem do domu.

Mieliśmy tam sąsiada takiego bardzo dobrego, zawsze z tym sąsiadem się przyjaźniłiśmy i mama bardzo sąsiadkę prosiła, żeby opiekowała się mną, żeby mi prała, żeby mi piekła chleb. Bo tam nie było tak – iść do sklepu kupić, każdy w domu miał piekarnię, w domu sobie piekł chleb, w domu mieli mleko, kozy czy krowy doili i robili tę *fete*<sup>26</sup> – ten ser i tak to było. A jak kupowali w sklepie, to kupowali cukier, sól, olej ewentualnie, ale też nie bardzo. Ale przeważnie cukier i sól kupowali. No i kawę. No i ja zostałem sam. I oni się mną opiekowali. Sąsiadka mi chleba piekła – bo my mieliśmy swoje zboże, ona tylko mi piekła ten chleb. Sera miała już

---

<sup>24</sup> Miejscowość w Republice Macedonii, położona w centralnej części kraju w okolicy miasta Prilep.

<sup>25</sup> Tyraliera to w rzeczywistości sztyk bojowy piechoty. Być może chodzi o blindaż – drewniany lub blaszany daszek nad okopem.

<sup>26</sup> Bałkański ser wyrabiany głównie w Grecji, Albanii i Bułgarii, od 2007 r. nazwa zastrzeżona dla serów wyrabianych w Grecji.

mama zrobione, bo myśmy mieli na rok, na dwa lata, trzymaliśmy w takiej wodzie słonej, to długo się trzyma. No więc miała mama dużo tego sera zrobionego. No i oni się mną opiekowali, oni mieli osiołka, ja miałem swojego osiołka i chodziłem do lasu, drzewa rąbałem, na tym osiołku przywoziłem do domu – to było moje zajęcie. I zresztą to zajęcie bardzo lubiłem, miałem kolegów, którzy ze mną chodzili do tego lasu po drzewo. I tak do 1949 r. W 1949 r. powstanie upadło i partyzanci kazali, że mamy się wszyscy stąd, z tych terenów, gdzie ja mieszkałem mniej więcej, wyprowadzić się. Mówili, że czasowo, że tu wrócimy jeszcze. Ale ci starsi mówili, że my tu już nie wrócimy, każdy bierze co ma najdroższe w domu i tak uciekać.

Ja wiedziałem, że rodzice są po stronie drugiej, jugosłowiańskiej i to na prostej linii, na prostej linii miałbym jakieś 2,5 km do 3 km do rodziców. Ale w 1948/1949 r. strasznie Tito się kłócił ze Stalinem<sup>27</sup>. I Tito budował komunizm, ale inną drogę wybrał, więc kłótnia była między nimi i nas nie chcieli puścić do Jugosławii. Uznali Titę za faszystę, za zdrajcę obozu komunistycznego. Wtedy takie hasła były komunistyczne. Więc wszystkich nas skierowali do Albanii. Więc ja na osiołku swoim o imieniu Marko i z pieskiem o imieniu Denko, wsiadłem, wziąłem sobie na tym osiołku taki koc, co mama miała robiony. Koc miała, na tych krosnach robiła, tkaniny, tak jak górale mają te spodnie takie białe. To ten koc wziąłem, trochę sera do torby, trochę chleba do tej torby i ruszyliśmy do Albanii.

A mieliśmy jakieś 10 km do granicy albańskiej, kierowali nas wszystkich partyzanci, tamtą granicę partyzanci zajęli<sup>28</sup>. A jak ktoś się nie chciał zbliżać, uciekać do Jugosławii, to go mogli jeszcze na granicy zastrzelić. Ja się bałem, że mi mogą krzywdę zrobić. A wiedziałem, że tam są rodzice po drugiej stronie, za górą zaraz. Ale my do Albanii musieliśmy. No i przyjechaliśmy do tej Albanii. Do takiego miasteczka, się nazywa Pogradec<sup>29</sup>. To jest zaraz nad Jeziorem Ochrydzkim. Zaraz. Ja tu mam kilka dyplomów, tam jeżdżę do Pogradeca, jeżdżę z grupami

---

<sup>27</sup> W kontekście konfliktu na linii Stalin – Tito warto dodać, że w 1948 r. granica jugosłowiańsko-grecka była otwarta, a Tito udzielał znaczącej pomocy komunistom greckim, którzy swobodnie przechodzili z terenów północnej Grecji do Jugosławii. W 1949 r. natomiast już granica ta została zamknięta, dlatego uchodźcy wojenni musieli uciekać z Grecji do Albanii.

<sup>28</sup> „Tamtą” granicę, czyli jugosłowiańsko-grecką.

<sup>29</sup> Miasto w południowo-wschodniej Albanii, położone nad Jeziorem Ochrydzkim.

turystycznymi. No więc w 1949 r. myśmy tam dotarli do tego Pogradeca, to z naszej wiochy gdzieś ze 20 km, 25 km może. I na osiołkach. Nie tylko ja, ale cała ludność, wszyscy z moich terenów musieli te tereny opuścić. Zostawili swoje domostwa itd. Partyzanci mówili, że my za chwilę wrócimy, ale to już... Ja wierzyłem, ale ci starsi mówili: to już koniec, my tu nie wracamy. No i przyjechaliśmy do tej Albanii i tam przy szkole nas zakwaterowali. Szkole odmówili naukę i w szkole nas tam umieścili, całą naszą grupę dużą. Bo nas wszystkich Greków, co tam przywędrowali do Polski było około 18 tys. wszystkich – z dziećmi, z tymi starymi<sup>30</sup>. No więc tam ta nasza grupa się zatrzymała w tym Pogradecu i tam byliśmy jeden dzień tylko. I kazali nam – tam boisko było, dzieci grały, tam topole były i kazali nam na tych topolach powiązać nasze osiołki. Bo jedni muły mieli, drudzy mieli konie. Ale przeważnie osiołki i muły, bo te tereny są górzyste, a te dwa zwierzęta są odporne i przystosowane do trudnych terenów. Bo koń to jest bardzo szlachetne zwierze, on musi mieć odpowiednie wyżywienie itd., a muł i osioł liści się naje i wytrzyma. Więc myśmy przeważnie na osiołkach, na mułach przyjechali do tego Pogradecu. No, niektórzy mieli i krowy, tam ze sobą pędzili, owce pędzili, kozy ze sobą. A ścieżka malutka, żadnego asfaltu, nic, po tych górach wspinaliśmy się. No i dotarliśmy do tego Pogradecu. No i tam kazali nam nasze osiołki powiązać za tymi topolami, koło tej szkoły, koło boiska. No i ja też tego osiołka swojego przywiązałem, bo tak kazali. I w pewnym momencie...momencik [*idzie po klucze – A.K.*]. W pewnym momencie wszyscy ci Albańczycy się rzucili na te zwierzęta i mieli pod ręką klucze takie i tak dzwonili [*dzwoni kluczami – A.K.*]. Podchodzili pod osła i jak osioł był stary to oni mogli dzwonić i osioł się nie ruszał. A jak był młody i mu ktoś zadzwonił – to odskoczył. Bo oni szybko wybierali te zwierzęta – on nie miał czasu. Zwierzęta można poznać po zębach. Ale oni nie mieli czasu tam pyski otwierać tym zwierzętom. Tylko tak przychodzili i tak dzwonili. Jak zadzwonił, jak

---

<sup>30</sup> Podawana przez Wangela Durlowa liczba jest nieco zawyżona. W 1950 r. znajdowało się w Polsce 10 722 uchodźców z Grecji, w tym 3337 dzieci do lat 18, 4487 mężczyzn i 2898 kobiet. Liczba Greków wynosiła 5344 osoby, zaś Macedończyków 5378 (AAN KC PZPR 237/XXII-416, k. 23, Notatka sprawozdawcza – sprawa uchodźców greckich). Natomiast według podanych już we wstępie do niniejszej relacji danych przytoczonych przez Arkadiusza Słabiga w 1955 r. przebywało w Polsce już 15 215 uchodźców z Grecji (A. Słabig, *op. cit.*).

skoczy – to był młody. A ja miałem takiego bardzo młodego i zdrowego osiołka. Jak zadzwonili to zaraz skoczył i mi tego osiołka zabierają. No i ja zacząłem płakać – że osiołek mój, że ja nie chcę go zostawić. A ci starsi mówią: daj sobie spokój, teraz już osiołków nie będzie! Załadują nas na auta ciężarowe. Na auto ciężarowe nie załadują osiołka twego. Wybij sobie to z głowy! No i Marko został tam z Denkiem – z psem. No i stamtąd potem załadowali nas na auta ciężarowe i przewieźli do takiego miasta większego – to jest jedno z większych miast w Albanii – Elbasan<sup>31</sup> się nazywa i w tym Elbasanie, nie pamiętam dokładnie, ale jakoś koło miesiąc czasu myśmy tam byli, czekali. Prawdopodobnie, tak przypuszczam, nie było jeszcze decyzji, do którego kraju mają nas wysłać. Do tych krajów demokracji ludowej. I czekali na decyzje widocznie – tak przypuszczam.

I tam przechodziliśmy straszny głód. Mieszkaliśmy tam w takich stajniach. Słoma tam była tylko rzucona. Betonowe to było. To było budowane jeszcze za czasów II wojny światowej, jak Włosi Albanie zdobyli, potem do Grecji, Grecję też zdobyli jakiś krótki okres, to tam budowali stajnie dla mułów. I tam w tych stajniach nas umieścili – jeden obok drugiego wszyscy spaliśmy. Oczywiście mydła przez cały miesiąc my w rękach nie mieli. To wszystko było zawzione. No straszne to tam wyglądało! Rzeczka była, myśmy tam chodzili do rzeczki i piaskiem tak te ręce czyścili i tak się myli. No i mieli olbrzymie, olbrzymie takie kotły i w tych kotłach gotowali takie jakieś zupki. W tych zupkach pamiętam, że były skórki świńskie, z tymi włosami to było razem. Ale jedli, nie było innego wyjścia. Głód był straszny.

I stamtąd po jakimś miesiącu, nie pamiętam dokładnie, załadowali nas na statek i statkiem potem Morzem Adriatyckim do Morza Północnego, Śródziemne, Cieśnina Gibraltarska koło Portugalii, Północne Morze i z Północnego Morza wjechaliśmy do Bałtyku i później do Gdańska. No i przypłynęliśmy do Gdańska, rano. I musieliśmy być w strasznym stanie, skoro oni nie chcieli pokazać nas tym ludziom, tym Polakom w Gdańsku<sup>32</sup>. Tylko zatrzymali statek cały dzień prawie. Płynęliśmy jakieś 7–8 dni – nie

---

<sup>31</sup> Miasto w centralnej Albanii nad rzeką Shkumbin.

<sup>32</sup> „Nie chcieli pokazać” uchodźców Polakom, ponieważ cała akcja objęta była tajemnicą państwową, o czym wspomina m.in. Władysław Barcikowski w książce *Szpital grecki na Wyspie Wolin* (Szczecin 1989).

pamiętam dokładnie, ale gdzieś koło 7 dni żeśmy płynęli. Na tym statku było z początku dość dobre jedzenie, dość tam żywili nas. Na samym końcu potem w ostatnim dniu zabrakło jedzenia, to cały dzień dostaliśmy po jednym sucharku takim. Nie było jedzenia już potem. A tam na statku, to był prawdopodobnie polski statek<sup>33</sup>, to my się nie mogliśmy tam porozumieć. Ale kapitan był tam wyśmienity i on strasznie dbał o dzieci. Przed portem nas zatrzymali, widocznie nie chcieli nas pokazać. Myśmy strasznie wyglądali.

No i potem, jak się ściemniło podpłynęliśmy pod port i widziałem z daleka takie świecące domki, to pierwsze takie było moje straszliwe wrażenie, że koło portu przesuwać się oświetlone domki. Kurcze, myślę: co to jest? Oświetlone domki się przesuwać naokoło. A potem się okazało, że to był pociąg – wagony oświetlane. A tam w mojej wiosce do dnia dzisiejszego nie ma pociągów! A ja tam nie widziałem nigdy pociągu w Grecji, gdzie my mieszkali! I dla mnie to było coś dziwnego – jak to: domki? Oświetlone? Bo to w nocy było i oświetlony był wagon. I tak przesuwać się? Myślę sobie: jak to możliwe, że się tak domki przesuwać naokoło? Koło tego portu. No i potem nas zapakowali do tego pociągu i muszę ci powiedzieć, że nas Polacy przyjęli super!

Z jednej strony były dwa wagony i z drugiej strony dwa. W środku jeden wagon był – sama żywność. Kiełbasy, chleba, bułki, kompoty, bo to było na jesień. Nie było tak dużo owoców już. Ale wszystkiego było w bród! I ci jak głodni wskoczyli do tego jedzenia, potem za przeproszeniem tak ich goniło, tak fajdali na prawo i na lewo, że to było coś straszego. I potem, myśmy nie jedli tam takiego jedzenia, to było super! Ale masło tak na chleb smarować to się nigdy nie jadło! Albo kiełbasę tak wędzoną i tak jeść. U nas się je kiełbasę, ale smażoną normalnie. I żeby masło smarować na chleb to nigdy! U nas przeważnie się robiło tzw. *mandzię*, czyli kartofle, paprykę, pomidory – wszystko, wszystko razem do kupy. I tam to było tego jedzenia naprawdę bardzo dużo, to jedzenie było super, ale nie dla nas jeszcze, bo my byliśmy wygłodniali i strasznie zaczęli chorować. I niektórzy nawet tam zaczęli umierać pod koniec z tego, że był głodny i naraz, że jedli tak dużo.

---

<sup>33</sup> Był to jednak najprawdopodobniej rumuński statek „Transylwania” (za: W. Barcikowski, *Szpital grecki...*).

Stamtąd nas załadowali i przywieźli do Międzygórza<sup>34</sup>. Międzygórze to jest na czeskiej granicy, taka miejscowość wczasowa, domy były wysokie, poniemieckie, z drzewa, z belek drewnych. Takie trzypiętrowe budynki. I tam żeśmy obchodzili tzw. kwarantannę. I wzięli wszystkie nasze te szmaty, wywieźli, taka łąka była ogrodzona siatką drucianą i te wszystkie ciuchy nasze, te koce tkane wzięli, bo to było zawzione i wszystko tam wrzucili, bo oni się bali, że tu jakąś chorobę zakaźną przywieziemy do Polski. Więc wszystkie ciuchy nam wzięli, wzięli azotox taki trujący i zaczęli przyskać tym te ciuchy. No a potem mogliśmy sobie to odebrać, ale po tym azotoksie prawie wszystko spalone było, szczególnie tekstylne rzeczy. Ja miałem ten koc wełniany, to on się jeszcze utrzymał. To my tu jeszcze go mieli kiedyś, kołdrę zrobiliśmy z tego...I ten koc cały się utrzymał, ale miałem ubranie nie z wełny naturalnej, tylko tekstylne jakieś, jak je chwyciłem, to mi w rękach wszystko zostało spalone. Nie tylko mnie – wszystkim innym też.

Aha – jeszcze chciałem powiedzieć – to, że w 1949 r. było tych dzieci w moim wieku bardzo mało. Nas było może jakieś koło 50 dzieci. A to wszyscy byli starsi, bo to cywile uciekali i partyzanci. A dzieci, tak jak mówiłem w 1948 r., wszystkie prawie wywieźli do tych krajów „demokracji ludowych”, a w 1949 r. mało nas zostało tych w moim wieku mniej więcej. To ja byłem, mój kuzyn, kuzynka – kuzynka była młodzieńca, miała 7 lat. A on o pół roku starszy.

I proszę was, w tym Międzygórzu obchodziliśmy tę kwarantannę. Tam trochę śmiechu było, bo była ciocia z dziećmi jeszcze, siostra mojej mamy i kuzyn o pół roku starszy ode mnie i ta siostra jego siedmioletnia no i ci kazali nam Polacy – osobno mężczyźni, osobno kobiety. A my języka nie znali i Polacy też nie znali po naszymu. I ciotka myślała, że oni każą mężczyznom osobno, że będą ich brali znów do partyzantki, kobiety osobno i zostaną tu. I nie chciała puścić syna. A już ze 14 lat miał, był o prawie rok starszy ode mnie. I on nie chciał iść. Nie chciał iść i potem my się śmiali z niego. Wasyl mu na imię. I on poszedł z kobietami tam. I jak my byli w domu dziecka, to żeśmy się później zawsze śmiali z niego:

---

<sup>34</sup> Uchodźcy z Grecji po przybyciu do Polski umieszczani byli w górskich uzdrowiskach na Dolnym Śląsku, m.in. w Łądku-Zdroju, Solicach-Zdroju (obecnie Szczawno-Zdrój), Bardzie Śląskim i Międzygórzu. Mieszkali w domach wczasowych, które udostępnił dla nich Fundusz Wczasów Pracowniczych. Por. *Macedońscy uchodźcy...*, t. 1; M. Wojecki, *op. cit.*

Wasy! Jak były te kobiety? Jak to wyglądało, jak żeś tam był? I zawsze z niego żeśmy się tam nabijali.

Po tej kąpieli znowu nas wszystkich wzięli razem i tam byliśmy w Międzygórzu z miesiąc czasu może, nie pamiętam dokładnie. I przyszła komisja oświaty i pisali, kto chce iść do szkoły<sup>35</sup>. No i dzieci – ja i mój kuzyn i ta dziewczynka, zapisaliśmy się. I dzieci zabrali i przywieźli nas do Solic – Solice Zdrój to jest we wrocławskim gdzieś<sup>36</sup>. I tam zacząłem chodzić do szkoły do I klasy.

Przysliśmy tam do klasy – my polskiego ani w ząb, nauczyciele też ani w ząb. Ale muszę powiedzieć, że nauczyciele byli super. To byli tacy dobrzy ludzie! Ja nie wiem, to może, ten rząd, bo to było za czasów Bieruta, może, że rząd Bieruta dobierał specjalnie tych nauczycieli dla nas, bo myśmy byli wystraszeni z tej wojny, dzieci bez rodziców, albo bez ojców, albo bez matki, albo niektórzy byli kalekami jeszcze od wojny, jeszcze poranieni z tych partyzantów. Tak, że ten lud, ten naród był wystraszony wszystkim. A wtedy nie było tak jak teraz tych psychologów. I ten nauczyciel był dla nas nauczycielem, kolegą, ojcem, matką, siostrą, babcią, wszystkim on był. I oni byli naprawdę wyjątkowi. Ja myślę, że ich dobierali. I to byli ludzie niewiele starsi od nas, wszyscy przeważnie po technikach pedagogicznych<sup>37</sup>. Wtedy w 1949 r. nie było tych magistrów, tych inżynierów, doktorów tak jak teraz. Nie było! Więc to chcę podkreślić jeszcze raz, że oni byli super dla nas.

I poszliśmy do klasy i teraz tak – słowników nie było tak jak teraz, jeśli był angielski, niemiecki, to było wszystko. Ale grecko-polski, o takich to mowy nie było! I przysliśmy do klasy i teraz ten nauczyciel kazał nam alfabet się nauczyć. No to nauczyliśmy się alfabet. Pisaliśmy alfabet, litery po grecku potem. A potem chodził po klasie i mówił „okno” – aha – to napisaliśmy „okno”. Z boku napisaliśmy po grecku, takie słowniki myśmy tworzyli. To są drzwi. To no „drzwi”. To jest oko – no to „oko”. To są włosy. I tak pokazywał i pisaliśmy, i takie słowniki my stworzyli. Ale – teraz trzeba było, żebyśmy szybciej tę szkołę podstawową skończyli. Bo my mieliśmy po 14 lat prawie, 13–14 lat, a w Polsce 14 lat to już się

---

<sup>35</sup> Za edukację dzieci – uchodźców z Grecji odpowiedzialne było Ministerstwo Oświaty (por. M. Wojecki, *op. cit.*; *Macedońscy uchodźcy...*, t. 1).

<sup>36</sup> Dokładniej – w powiecie wałbrzyskim. Na temat pobytu dzieci w Solicach por. *Macedońscy uchodźcy...*, t. 1, s. 132–137.

<sup>37</sup> Raczej: liceach pedagogicznych.

szkołę podstawową kończy. A myśmy dopiero zaczynali, jeszcze języka my nie znali. I to było strasznie trudno dla nas. I zrobili nam tzw. szkołę semestralną, to się nazywała, podstawową, w jednym roku myśmy dwie klasy kończyli. W 1950 r. zacząłem i w 1954 skończyłem. Wtedy było 7 klas jeszcze podstawówki, z tym, że I, II – w jednym roku, III, IV – w drugim, w trzecim – IV, V i w czwartym siódmą klasę. Siódmą klasę cały rok my chodzili. I po 4 latach myśmy skończyli szkołę podstawową. No i teraz trzeba było wybrać jakąś inną szkołę.

A ja wiedziałem, że rodzice są w Jugosławii, ale nie wiedziałem konkretnie gdzie oni są. I nie umiałem tak po polsku napisać, nie wiedziałem gdzie napisać, co napisać, kogo się tu spytać, gdzie ci rodzice tam są, żebyśmy mogli się zjednoczyć. A rodzice mieszkali zaraz za naszą wiochą! I oni widzieli jak bombardowana była nasza wioska, jak wszystko się tam paliło. I oni wiedzieli, że ja tam zostałem, więc myśleli, że tam zginąłem przy tym bombardowaniu. No więc – jak się dowiedzieć, gdzie oni tam są? I pewnego razu przechodziłem koło wychowawcy, on uczył nas matematyki ale wychowawcą też był. Nazywał się – pamiętam – Tomczyk Wacław. Przychodził koło mnie i mi się pyta – ty, a masz mamę, tatę? To już było w 1951 r., już my trochę zaczęli po polsku mówić, niektóre słowa. Już trochę rozumieliśmy, bo już dwa lata żeśmy się uczyli w szkole. No więc ja mówię, że mam gdzieś w Jugosławii, ale nie wiem, gdzie konkretnie są. A, to ja już znajdę, mówi. On miał żonę, pamiętam, że miał bardzo ładną żonę, ona u dziewczyn była wychowawczynią, w tej grupie dziewczęcej. I co go to obchodziło czy ja mam tam rodziców, czy gdzie? Dlatego mówię, że na pewno oni byli specjalnie dobierani, bo go to zainteresowało, czy ja mam rodziców czy nie. I on mówi: ja ich znajdę. Napisał do ambasady Federacyjnej Republiki Jugosławii, bo to Macedonia wtedy należała do Federacyjnej Republiki Jugosławii, napisał do ambasady i po 3–4 miesiącach dostałem pismo z ambasady, że rodzice znajdują się w wiosce Brajczyno<sup>38</sup> się nazywała, trochę wyżej, a później się przeprowadzili tu bliżej jeziora. W każdym razie w Brajczyno, bo w Brajczyno ojciec miał siostrę, tam za męża wysła. Ona się w Grecji urodziła, ale przez granicę – tak jak tu jest z Czechami przez granicę, tak tam była granica. I tak tam ludzie przechodzili i też tak się tam żenili z ludźmi. Bo to też była Macedonia, tylko, że to była grecka część, a tu była Jugosławia.

---

<sup>38</sup> Wieś w południowo-zachodniej części Republiki Macedonii, 6 km od Jeziora Prepańskiego.



W 1951 r. dowiedziałem się, gdzie rodzice są i zaczęliśmy pisać. Oczywiście radość wielka – rodzice ucieszyli się, że ja żyję, a z kolei ja się ucieszyłem, że oni tam istnieją. No i zaczęliśmy pisać. W 1954 r. skończyłem szkołę podstawową w Policach<sup>39</sup> i w 1956 r. zrobili mi rodzice papiery, że w ramach łączenia rodzin przez Czerwony Krzyż<sup>40</sup> [szuka dokumentów – A.K.]. O! Tu mam to – tu mam w języku serbskim, a ja jestem tłumaczem przysięgłym, to sobie możesz przeczytać. Ja tu mam przetłumaczone to:

*W związku z waszą prośbą, aby wasz syn Durlowski Wangel wrócił do was, należy dostarczyć nam koperty z ostatniego listu, który od niego otrzymaliście. Również potrzebne jest nam oświadczenie dwóch świadków w sprawie daty urodzenia potwierdzone przez miejscowe władze, w którym roku i gdzie jest urodzony wasz syn Wangel. Oświadczenie to jest nam potrzebne ze względu na to, iż w waszej prośbie z roku 1953 piszecie, że wasz syn Wangel jest urodzony w 1937 roku, a w prośbie z roku 1955, że urodzony w 1938. Ponieważ Jugosłowiański Czerwony Krzyż wraca rodzicom tylko dzieci małoletnich, dlatego jest konieczne dostarczyć nam zaświadczenie<sup>41</sup>.*

Bo jak byłem starszy to ja decyduje, czy wyjechać czy nie, a jak jestem małoletnim to mam obowiązek, bo rodzice żądają tego. To było pierwsze [pismo od rodziców – A.K.].

Ale jak ja skończyłem szkołę podstawową, tak w Polsce nam idealne warunki stworzyli – jedzenie, spanie, wszystko! W domu dziecka, to tak się nazywało – POW – Państwowy Ośrodek Wychowawczy. No więc ja cały czas w tym domu dziecka byłem. Nie tylko ja, bo tam było nas ok. 4 tysiące wszystkich dzieci – tych, co w 1948 r. uciekli i tych, co potem ze mną

---

<sup>39</sup> Państwowy Ośrodek Wychowawczy w Policach, utworzony dla dzieci greckich i macedońskich. W ramach POW funkcjonowała szkoła podstawowa (W. Kopczyński, *Dzieci macedońskie...*; P. Nakovski, *Makedonskie deca vo Polska*, Skopje 1987; najcenniejszym źródłem informacji o POW jest zespół archiwalny Archiwum Państwowego w Szczecinie, POW w Policach, sygn. 560.

<sup>40</sup> Porozrucani po różnych krajach bloku wschodniego uchodźcy z Grecji znajdowali swoje rodziny z pomocą Czerwonego Krzyża, o czym pisał m.in. M. Wojecki (*Uchodźcy polityczni...*).

<sup>41</sup> Wszystkie cytowane w niniejszej relacji dokumenty znajdują się w posiadaniu Wangel Durlowa.

przyjechali<sup>42</sup>. W każdym razie były te warunki idealne. I teraz tak – rodzice chcą, żebym ja jechał tam. I piszę do rodziców – tu są idealne warunki, jak ja tam przyjadę po szkole podstawowej, to co ja tam będę – papierosy sprzedawał w kiosku? I mówię – tu są idealne warunki, to bym jeszcze skończył średnią szkołę i potem bym tam wrócił. No i rodzice mówią – to już jak uważasz. No i oczywiście rodzice mi napisali, jaki zawód mam wybrać. No, najlepiej jakbyś był nie wiem czy słyszałaś takie słowo – samardžia<sup>43</sup>? Samardžia to jest taki, co robi te – na osła takie siodła. Samardžia to się nazywa. To jest samar – najpierw ma taki materac, a później konstrukcję drewnianą i na tym się wiąże towar. Bo rodzice na wsi mieszkali i mówią – samardžia by im się przydał. Gdzie ja? Samardžia teraz nie trzeba, ludzie auta teraz mają! To później piszą – jakbyś kowalem został. Bo ja im napisałem, że chcę iść do średniej szkoły technikum wychowania fizycznego. Mnie strasznie to bawiło. Byłem bardzo sprawny, wysportowany. Gimnastyk byłem bardzo dobry. I to mnie najbardziej interesowało. Ale rodzice – nie! bo sobie nogę połamiesz, rękę sobie połamiesz. To najlepiej samardžia, szewc, kowal, krawiec. A mnie to nie interesowało. I tak pisali mi i pisali.

A jak my szkołę skończyli, to była tablica i były wypisane technika wszystkie i my jako obcokrajowcy mogliśmy wybierać wszystkie technika, oprócz wojskowych. Do wojskowych szkół nie. A reszta to wszystko. Technikum mechanizacji, technikum precyzyjne, handlówka, wychowania fizycznego itd. Ale ci, co jeszcze nie byli zdecydowani, zabrali wszystkich i do szkoły rolniczej do Cieszyna. I mnie tu przywieźli. Nas przyszło tu 18 chłopców i 12 dziewcząt. No i przyszlśmy tu do Cieszyna, tu jest Państwowy Dom Dziecka na ul. Kraszewskiego i tu zacząłem chodzić do tego technikum rolniczego. Jak my tu przyszl – to dopiero było nam tu ciężko! Bo Polacy znali język polski, jedno, a drugie – szkołę podstawową kończyli normalnie rok w rok i mieli podstawy, a my tak po łebkach, jak to się mówi, uczyli się podstawówki i potem nam brakowało tego materiału. No i teraz zacząłem tu chodzić i rodzice powiedzieli, że jak skończę szkołę to znów mi papiery wyrobią i będę jechać z powrotem. No więc zacząłem tu chodzić do szkoły i proszę ciebie, jak to śpiewał ten Jarocki,

---

<sup>42</sup> Petre Nakovski podaje liczbę 3017 dzieci z Grecji przebywających w Polsce, w tym 1545 macedońskich i 1472 greckich (*Macedońscy uchodźcy...*, t. 1, s. 109).

<sup>43</sup> Określenie pochodzące z gwary lokalnej. W języku polskim nie ma adekwatnego wyrazu.

że polskie dziewczyny mają najwięcej witamin!<sup>44</sup> I ja w tej klasie, gdzie chodziłem do szkoły rolniczej, spotkałem jedną dziewczynę, która miała strasznie dużo witamin i to jest ta tutaj [ze śmiechem wskazuje na żonę]. Poznałem ją w szkole, no i jak szkołę myśmy skończyli, to się później ożeniłem. I teraz rodzice zaś piszą: po szkole, bo szkołę skończyłem w 1959 r., a w 1960 – mam tu pismo drugie, też przez ambasadę przekazane, tu jest przetłumaczone, ojciec mój to pisze:

*Prośba od pana Fotego Durlow z wioski German, powiat lewińsko, Egejska Macedonia, Grecja. Obecnie mieszkam we wsi Lubojno, okręg ochrydzki.*

*Zwracam się z prośbą do ambasady o powrót naszego syna w ramach łączenia rodzin. Obecnie mieszka w Polsce. Nasz syn opuścił terytorium Grecji przed terrorem greckim w roku 1949. Obecnie mieszka pod adresem: Durlowski Vangel, Stalinogród<sup>45</sup>, ul. Kraszewskiego. Prosimy powyższą ambasadę o powrót naszego syna do Jugosławii, do swego ojca i matki. Oboje pracujemy i możemy mu zapewnić środki utrzymania. Pragniemy być wszyscy razem.*

No i teraz ja tak mówię: spotkałem panienkę i nie chciało mi się wracać! A tu pismo: wracać! I teraz – co mamie napisać? Mama strasznie chciała, żebym ja wrócił tam. No i piszę teraz mamie, że jeszcze rok staż był – tak było! Nie cyganiłem! Rok staż był. Jak się kończyło szkołę średnią to jeszcze kierowali nas na tzw. roczny staż. I ja dostałem, skończyłem to i dostałem skierowanie do Kołobrzegu na roczny staż. I tam mi dali mieszkanie. A że byłem w domu dziecka tu na Kraszewskiego, to oni nie mogli mnie, jak szkołę skończyłem, wyrzucić na ulicę, musieli mi jakieś mieszkanie dać. I oni mi dali w Kołobrzegu. Ale mnie się do Kołobrzegu nie chciało jechać, bo miałem sympatię tu w Cieszynie, Cieszyńszczyznę. I teraz – co tu robić? No i chodzę, pytam, jakieś mieszkanie czy co. Szczęście miałem, że siostra teściowej pracowała w składnicy lasów, w biurze i tam mieli jakieś ze związków zawodowych takie malutkie biuro i ona prosiła tego kierownika, czy oni by mi nie wynajęli tego biura na jakieś pół roku, póki sobie nie znajdę jakieś mieszkanie. I tak to załatwiłem. Udało mi się to załatwić i tam zamieszkałem jakiś czas. Bo rodzice żony

---

<sup>44</sup> W rzeczywistości piosenkę śpiewał Andrzej Rosiewicz.

<sup>45</sup> Dawna nazwa Katowic, obowiązująca od 1953 do 1956 r.

mieszkali w Cieszynie, ale mieli strasznie małe mieszkanie. Z kolei my mieliśmy dość ciężko, na początku nam było niesamowicie ciężko – i jej, i mnie. Dlatego, że jej ojciec miał 49 lat i w 1957 r., czyli przed naszą maturą, zmarł na zawał serca. Została teściowa, chora, nie pracowała i brat młodszy od niej o jakieś 7 lat.

I teraz – ja wyszedłem z domu dziecka – ubranie dostałem, skarpetki jakieś, jakieś buty, koszule ze 2–3 i to było wszystko. Do tej pory 10 lat byłem w domu dziecka – bo całą szkołę podstawową i średnią. 5 lat w Policach chodziłem i 5 lat tu w Cieszynie – do technikum. I jak to skończyłem, to tak jak mówiłem, niewiele dostałem i teraz trzeba było wszystko od początku. No i było nam niesamowicie ciężko. Finansowo. Ożeniłem się w 1960 r.. Pracowaliśmy obydwój. Ja pracowałem fest! Bardzo mocno pracowałem! Od rana do wieczora! Kiedyś było dużo pracy, pracowałem i dość szybko żeśmy się dźwignęli z tego. Ja jeszcze potem pracowałem w Zgorzelu, 2 lata w sezonie letnim. I żeśmy się trochę podreperowali.

W 1963 r. urodził się syn. Strasznie chciałem, żeby się urodził syn, no i urodził się! Nie, że ja byłem przeciwko dziewczynom, ale... ja się bałem, bo ja przeszedłem dość trudne czasy i bałem się, że jak będzie dziewczyna, to jej będzie o wiele ciężej jak mnie. Bo jak myśmy tu przyjechali z tej Grecji to dziewczynom, Greczynkom, było o wiele trudniej i więcej płakały, więcej tęskniły do swoich rodziców niż my starsi i chłopcy. Dlatego strasznie, strasznie chciałem chłopca! No i urodził się synek. Strasznie się z nim zaprzyjaźniłem.

No i teraz trzeba było do rodziców jechać raz! No ale nie było pieniędzy. Ta Jugosławia była zaliczana do krajów kapitalistycznych, bo oni z tym Stalinem się tam pożarli i trzeba było wszystko w dewizach płacić. Bo tu do tych krajów naszych to można było wszystko w złotówkach płacić, a tam – dolary! A dolary były w banku po 24 złote, a na czarno 120 zł. To była straszna różnica i nie było tych pieniędzy. No i teraz trzeba było mieć zaproszenie od rodziców:

*W odpowiedzi na wasze pismo z dnia 16.09.1964 roku wydział konsularny ambasady Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Belgradzie informuje was, że wasz syn może was odwiedzić, tylko jest potrzebne zwrócić się do milicji obywatelskiej w jego miejsce zamieszkania celem wystawienia mu potrzebne dokumenty podróży.*

I to było to. I potem trochę my tam pieniędzy nazbierali i dopiero w 1965 r. pojechałem pierwszy raz do rodziców. To było po 16 latach. 16 lat ich nie widziałem! I teraz jedziemy – w ciemno! Mieliśmy bilet kupiony, tu w Zebrzydowie<sup>46</sup>, bo taki pociąg jechał Warszawa – Belgrad. Z Belgradu potem jechał drugi – przesiadkę mieliśmy tam. Jechał Dortmund – Ateny. On jechał przez Skopje. W Skopje znowu przesiadkę. I ze Skopje potem pociągiem do Bitoli i z Bitoli potem jeszcze autobusem jakieś 40 km do tej wiochy, do tego Prespańskiego Jeziora. I teraz tak – synek ma lutki, 2 latka miał. I teraz tak: pieluchy, nocnik, jedzenie. Mleko w proszku. A mama mi pisała: nie bierz nic jedzenia, bo mamy dwie krowy. Ale to nigdy nic nie wiadomo. Lepiej brać! Bo my mogliśmy przy papryce wyżyć, bo tam papryki dość, ale mówię – dla tego małego trzeba wziąć.

No i przyjechaliśmy tam, do Bitoli, z biedą żeśmy przyjechali. Ja cały czas – się we mnie gotowało. Jakie to będzie to spotkanie? Jakie to będzie? Jakie to będzie? Ale tyle dobrze, że ja języka nie zapomniałem. Mówiłem dobrze po macedońsku. Po grecku zresztą też. Ale po macedońsku bardzo dobrze i tego nie zapomniałem. Bo brat był w Czechach, w Libercu – on tam był 10 lat, później pojechał do Niemiec, ożenił się tam. W każdym razie on zapomniał zupełnie języka macedońskiego. Jak po 10 latach wrócił do domu – ten szwargoczył i mówił po czesku, mama go nie mogła zrozumieć. Mówi: mów człowieku co chcesz! Nie mogli się porozumieć! A ja o tyle, że języka nie zapomniałem, to był duży plus. No i tak fizycznie – byłem bardzo sprawny – dość żywotny i wygimnastykowany. No i walizkę, plecak, dwie torby! Żona dziecko w rękę, a ja cały bagaż! Nie było aut wtedy, w 1965 r.

No i przyjechaliśmy do Bitoli, idę na autobus, a kierowca mówi: już nie ma biletów, wszystko wyprzedane. Ja mówię, ja przyjeżdżam z Polski, z żoną, z dzieckiem, tak daleko, do rodziców. Absolutnie, mnie ukażą, jak ja bym stojącego wziął! Ja mówię: stojące, będziemy stali! Będziemy stali! Nie wolno stać! Bierze tylko tyle, ile w samochodzie miejsc. Wyprosił nas z tego autobusu, nie sprzedał nam biletów. No i teraz co? Mówię do żony: ty tu czekaj z małym, a ja pójdę tu do kuzyna, miałem adres. I poszedłem do niego. Przywitałem się z nim. On się tak patrzy na mnie – mówi: skąd jesteś? Skąd? Ja mówię: nie znasz mnie? Skąd! Tyle lat – to gdzie?! No i w końcu mówię, kim jestem. On skoczył! Całowania! Ściskania!

---

<sup>46</sup> Chodzi najprawdopodobniej o Zebrzydowice.

No i mówię: mam problem, pomóż mi jakoś. Mówię: mam żonę z dzieckiem, na dworcu, chcemy jechać do rodziców i nie mogę się dostać! A nie było wtedy aut jak teraz. A on mówi: wiesz co? Staniemy na tej drodze, co na tę Prespę jedzie i będziemy próbować stopem. No i stanęliśmy tam, stoimy, stoimy, jedni się nie zatrzymują, drudzy tam nie jadą. Ale w końcu jeden jechał do tego Ljubojno<sup>47</sup>. Ciężarowym autem takim. I mówię żonie: siadaj! Siadła żona, tego małego tu, ja na boku, wszystkie te kufry na bagażnik, otwarty oczywiście bagażnik. Duże auto ciężarowe. I tak jedziemy, jedziemy i on w pewnym momencie stanął, ten kierowca i mówi: ty, przesiądź się po tamtej stronie, a niech tu żona. A ja mówię: co się stało? A on: przesiądź się mówię tam! Ona tam, a ty tu! I potem jak my się zbliżali do tej wiochy ja mówię: czemu mi się kazałeś przesiąść? No jak to wygląda? Mówi. Ja lewarek mam, skrzynię biegów zmieniam i czasem mogę dotknąć kolana, bo to ciasno było. I taki był wystraszony, taki starszy facet. I tak my gadali w tym aucie, potem się okazało, że on z mym ojcem w spółdzielni drzewa rąbał w lesie, bardzo dobrze go znał.

Przyjechaliśmy na rynek w tej wiosce, ja tam nie byłem, ja byłem wyżej o jedną wiochę, gdzie moja ciocia mieszka. Ale też nie pamiętałem, malutki byłem, z 8 lat miałem jak tam byłem. W każdym razie przyjechaliśmy do tej wiochy, na rynku my wysiedli i teraz: gdzie iść? Gdzie ich szukać? Który to jest dom? I akurat nawinął się policjant, tam po rynku chodził. I mówię mu, że ja jestem z Polski, że jestem synem Fotego, no i tu mieszka mój ojciec, nie wiem jak tam trafić. O! ja cię zaprowadzę! Jeszcze kufry mi pomógł nosić, żona wzięła dziecko i idziemy. I idziemy i idziemy tą uliczką... już akurat tu koło 4 po południu i tam pędzili bydło. Oni tam wszyscy razem zbiorowo te bydła pasą. I potem wieczorem zganiają do wiochy. Wąskie uliczki takie i my wśród tego bydła i tak idziemy. I mama siedziała na takiej ławie, co była na polu, siedzi i tak duma, duma. My pisali, że przyjedziemy, ale ja nie wiedziałem konkretnie kiedy i jak, jakie będą połączenia. I tak siedzi, siedzi, siedzi. I naraz widzi, że idzie policjant – i dwóch facetów i jakieś dziecko w rękach. I jakaś blondynka. A tam raczej ciemne są. Syn też biały, jasny. No i idziemy, idziemy. Mama mówi, że w pewnym momencie tak sobie myśli: ciekawe, gdzie ci goście idą? Czy ta gospodyni będzie miała obiad dla tych gości?

No i podeszliśmy tam. O! jak moja mama zobaczyła blond włosy to mówi: to są z Polski na pewno! No i skoczyła! I płaczu! I wrzasku!

---

<sup>47</sup> Zob. przyp. 23.

Od tych emocji gorączki dostałem. Auta nie ma. Lekarza tam na wsi też. Trzeba było 25 km do lekarza jechać. Potem mama leciała do wojska, bo tam granica z Grecją jest, czy wojsko by mnie nie zawiozło do lekarza. Ale potem mówi żonie: wiesz co, tu ci dam miednicę. Dała jej miednicę. I kwaśne wino, ocet z wina i w tym moczy się szmatę i przykładła na nogi. To jest taki sposób mojej mamy na obniżenie temperatury. I – faktycznie – to potem pomogło trochę.

W każdym razie – było to spotkanie po 16 latach niesamowite! No i jak tam przyszlismy, mówię żonie wiesz co: jak tam przyjdziemy nie wąż się ojca całować w policzek. Jak przyjdziemy – to go pocałuj w rękę. Bo jak go pocałujesz w policzek, to cię uznają za przeproszeniem za .. k....no. Tylko w rękę! Ale ojciec już sam rękę do góry dźwignął no i pocałowana ręka.

No i poszliśmy do domu i teraz opowiadamy. I opowiadamy całą noc! Żona poszła z dzieckiem spać, a my opowiadamy! To 16 lat! Oni mówili co przeszli, ja mówiłem jak to tu było, co ja przeszedłem. Opowiadania.

No i tak widzę jednego dnia – mama bierze miednicę, zimną wodę i ojciec wkłada nogi do tej miednicy, mama na kolana i mu nogi myje. A tak robili tam w mojej wiosce, potem mi się to przypomniało. Ja mówię na drugi dzień do mamy: ja cię nie chcę widzieć, żebyś mu tu nogi myła! On ma zdrowe ręce! On potrafi, on drwałem był, bardzo silny mężczyzna, on potrafi 5 kubików drzewa narąbać, to potrafi sobie nogi umyć. Jak będzie chory – to go możesz całego umyć. Ale jak ma zdrowe rączki, to niech sobie sam nogi myje. A ona powiedziała: nie, synu. Moja babcia mojemu dziadkowi myła nogi. Moja mama mojemu ojcu. I ja twojemu ojcu do śmierci. I faktycznie tak było. Że to był taki zwyczaj.

A w tym samym okresie, siedzieliśmy któregoś dnia, jeszcze długo my tak opowiadali i mówię ojcu tak: wiesz co tata, jak będziemy wyjeżdżać, ja nie chcę, żeby cię moja żona całowała w rękę, ja bym wolał, żeby cię w policzek pocałowała. Nie gniewaj się, mówię, taki jest zwyczaj w Polsce. A jeszcze ci powiem coś, mówię. Że w Polsce mężczyźni kobiety w rękę całują! Ojciec tak z miejsca się zerwał i mówi: ale wiesz co? Ci Polacy to chyba nie są normalni! Nie chciał temu uwierzyć!

Z miesiąc u rodziców wtedy byliśmy. Miesiąc – bo urlop mieliśmy. A potem to jeździliśmy, bo nam się trochę poprawiło, dużo nam się poprawiło. Bo ja tu jak byłem w Polsce, miałem kartę stałego pobytu i dowód tożsamości cudzoziemca. A potem chciałem wziąć paszport jugosłowiański w latach 70.–80. – bo Jugosłowianie mogli jeździć po wszystkich krajach kapitalistycznych – do Niemiec, Austrii, do Holandii, pracować

mogli. I nie było problemu z wizami. Bo jak jeździłem do Jugosławii, to musiałem strasznie dużo wiz mieć – węgierską wizę, czeską wizę, bo ja obcokrajowcem byłem. I tych procedur z wizą to miałem dużo. I postanowiłem, że wezmę jugosłowiański paszport – rodzice mieli jugosłowiański paszport, brat miał jugosłowiański. Napisałem podanie do ambasady do Warszawy i oni mi kazali przyjść – możesz wziąć nasze obywatelstwo i mieszkać w Polsce. I później jak już je miałem, to jeździłem do Niemiec, trochę pracowałem, ale najwięcej pracowałem w Austrii. No i wtedy kupiliśmy auto, zastawę tę jugosłowiańską, no i potem jak już było auto, to jeździliśmy co roku autem do rodziców, to już było dużo lepiej.

No a ja dość słabo się uczyłem, mogę się przyznać bez bicia. Ale muszę powiedzieć, że z tych 18 chłopców i 12 dziewcząt tylko dwóch nas skończyło szkołę. Ja skończyłem i taki jeden chłopak, teraz mieszka w Grecji, w Salonikach – tylko my dwaj skończyliśmy szkołę rolniczą tu. Wszystko poodpadało. Niektórzy nie z tego, że wiedzy nie mieli, bo ja miałem kolegę, który do Kanady jechał i bardzo dobrze się uczył. Ale z kolei rodzina go ściągała tam i już nie skończył. W każdym razie my dwaj tylko skończyliśmy tę średnią szkołę rolniczą. Mnie bardzo zależało na tej szkole rolniczej, na tym technikum, wtedy technikum było bardziej punktowane, bo teraz magister się liczy. A wtedy jak był technik w latach 50. to już był gość. W każdym bądź razie mnie bardzo zależało na tym, bo ja znałem języki: macedoński i grecki, i serbsko-chorwacki i strasznie chciałem do urzędu – pracować w urzędzie celnym w Zebrzydowicach. Bardzo mi to odpowiadało. Ale nie miałem obywatelstwa i nie przyjęli mnie tam. Ale później w 1974 r. zrobiłem tłumacza przysięgłego z tego macedońskiego i serbsko-chorwackiego. To mi naprawdę pomogło, bo to już było dużo pracy. Zawsze Jugosłowianie tu jeździli i zawsze jakieś przestępstwa tu robili. I miałem dużo pracy.

I potem to już lepiej szło. Syn się bardzo dobrze uczył. Bardzo był lubiany przez moją mamę! Ona go uwielbiała! Strasznie! Teraz jest muzykiem, gra na skrzypcach. Ja chciałem, żeby szedł na medycynę. I moja mama też, zawsze mówiła: na doktora, za doktora, niech idzie za doktora! Niech jeden będzie w rodzinie! Bo mam dużą rodzinę w Macedonii, mamy tam akuszera, ale nie mamy doktora, który by był z naszej rodziny. Ja strasznie chciałem, ale on nie, on muzykę, muzykę i muzykę, to ja mówię: wiesz co, to idź na tę muzykę jak chcesz. No i muszę ci powiedzieć, że jestem bardzo dumny z niego! Skończył średnią muzyczną tu, potem w Krakowie skończył akademię muzyczną.



I tak wiesz, i tak to się wszystko toczy. W zasadzie pomocy nie miałem od nikogo. Bo teść nie żył. Jedyne co mi pomogła, to mi pomogła teściowa. Dużo mi pomogła teściowa. Przede wszystkim, jak ja skończyłem tą szkołę średnią, tą rolniczą, zacząłem pracować. Tam z kolegami zacząłem trochę też popijać. I dzięki właśnie teściowej, bo ona mnie wzięła na stronę i tak sobie ze mną porozmawiała. Bardzo mądrze, zresztą była pedagogiem, bo ona była nauczycielką z zawodu. I ona mi jedną rzecz nauczyła w życiu, ona mi kazała, rozumiesz, czytać Biblię. I ja czytałem Biblię, bardzo czytałem. I naprowadziła mnie na takiego wyznania, nie wiem, czy słyszałaś ty kiedyś: to są adwentyści dnia siódmego. I dzięki temu, że ona mnie naprowadziła na to, unikałem pijaństwa! Bo – ja wychodząc z domu dziecka miałem już wolne. Już byłem sam panem dla siebie. Mogłem sobie na dziewczki chodzić, mogłem sobie popijać, mogłem sobie pokurzyć – to znaczy palić papierosy. I ja też nie byłem taki stary. Ja miałem 18–20 lat. No i mówię hulaj dusza, piekła nie ma! I nikt mnie nie krytykował. Nikt mnie nie naprowadził! A teściowa, nie, żeby krzyczała na mnie, ale bardzo grzecznie, bardzo kulturalnie. Szkoda tylko, że tak krótko żyła. Żyła też 45 lat. I ona mnie naprowadziła na tego, to był bardzo dobry pomysł. No i od tego czasu dobrze nam, nie możemy narzekać.

Moja mama była u nas parę razy. Pierwszy raz prawie umierała, w szpitalu leżała. I lekarz mówi: zaraz ją zapakujcie do pociągu, ona tu nie może wytrzymać! Tu jest całkiem inne powietrze! Z 10 dni tu była, z 5 dni w szpitalu, 5 dni tutaj. I zaraz z powrotem. Ale potem jeździła.

Teraz mam polskie obywatelstwo. Jak się Jugosławia rozpadła, trzeba było jakieś wziąć. Oni mi mówili, żebyśmy macedońskie wzięli, ale całe szczęście, że nie wzięłem. A tak w 1985 r. napisałem prośbę, jeszcze Wałęsa był wtedy, napisałem prośbę do Wałęsy<sup>48</sup>. Ale zresztą dostałem bez problemu, bo tu mieszkałem tyle lat. I dobrze, że wzięłem, nie mam teraz żadnych problemów, mogę jeździć, gdzie chcę.

Ale wcześniej mówiliśmy, że pojedziemy do Macedonii. Wszystko się koło tego robiło. M.in. byliśmy w Warszawie w ambasadzie. I wtedy się okazało, że ten ambasador to jest dobry kolega mojego brata. I on nam mówi: wiecie co, a źle wam tutaj jest w tej Polsce? On mi mówi: masz mieszkanie? Mam mieszkanie! A masz pracę? Mam pracę! Daj sobie spokój, mówi. Tam na razie jest dobrze, ale w każdej chwili się tam wywali.

---

48 Prawdopodobnie chodzi o rok 1995.

Kiedyś, jak Tito jeszcze był, to dobrze im się żyło. A teraz tam jest strasznie. Żona nie dostanie pracy, mówi. I ty też nie wiadomo. I z czego będziesz żył? Masz już worek pieniędzy przygotowany? I małe dziecko! Poznałem te sprawy bardzo dobrze, jak byłem tłumaczem. I dlatego myśmy się nie zdecydowali wyjechać.

Mój kuzyn wrócił do Grecji jako dorosły. On był w Policach. Skończył w Szczecinie jedną czy dwie klasy szkoły średniej. On z kolei jest niewidomy. I jego mama też, ona się urodziła niewidoma. W każdym razie ten kuzyn mój po mamie nie widzi i ta kuzynka też tak ma. On z kolei, jak byliśmy w Policach, w Państwowym Ośrodku Wychowawczym, to on nie chciał w ogóle grać w piłkę czy co, tylko grać na fortepianie. Niesamowity słuch miał. I on, jak siedzieliśmy w pokojach, głośniki były, radia nie było. I on jak usłyszał w głośniku melodię, zaraz leciał do świetlicy, bo my mieliśmy na dole świetlicę i pianino i on już na tym pianinie grał! Nieobadany słuch miał! Jak tam na 22 lipca czy 1 maja uroczystości były, to on był takim głównym organizatorem od tej części artystycznej. Tańczyli tam te nasze tańce czy grali i on tam to wszystko prowadził. I z Warszawy jakaś komisja była raz i zauważyli, że on strasznie słabo widzi nuty, bez nut gra. I pytali się potem tych nauczycieli, że tak to ma od urodzenia z tym wzrokiem. I oni się bardzo zainteresowali. Zobaczyli, że on fantastycznie gra, fantastyczny słuch ma. Skierowali go do szpitala – dwa razy operowali mu we Wrocławiu – pogorszyli mu to. Potem go operowali w Krakowie raz – też nic nie zrobili z tego, bo to jest dziedziczne. I to mu pogorszyli nawet. On widzi – ale bardzo, bardzo słabo. Jak my do niego nieraz przyjeżdżamy, to – żona jest dosyć muzykalna, syn na skrzypcach gra, bo też muzyk. A on jest na tle muzyki nienormalny! Jak oni tam przychodzą i zaczną śpiewać, to on zaraz bierze akordeon i gra *Siwy włos* – „Znalazłem pierwszy siwy włos...” albo *Cicha woda* – bo to wtedy było modne. Tylko krzyczy: głośniej śpiewać. No, ja też śpiewam, ale on mówi: ty się staraj trochę ciszej śpiewać! Bo trochę fałszywie... On strasznie mile wspomina Polskę!

Tak się rozeszli wszyscy. Taki był zjazd kiedyś, w takim wielkim hotelu. W Skopje, w 1988 r.<sup>49</sup> Co chwila ktoś do nas podchodził i co chwila coś się nas pytał! Jedna tak tam płakała, że aż się prawie rozchorowała. Jeden

---

<sup>49</sup> Było to Pierwsze Światowe Spotkanie Dzieci – Uchodźców z Macedonii Egejskiej, zorganizowane w Skopje w 40. rocznicę ewakuacji dzieci z terenów objętych wojną. Od tamtego czasu zjazdy odbywają się co 5 lat, ostatni w 2008 r.

młody facet tak się na mnie rzucił, ściska mnie. Ja myślałem, że ta jakiś pan, co panów lubi. Dziwne ściskanie, tego. W końcu mówi do mnie: tyś mi życie uratował! No – ja? tobie? No – ty mnie życie uratowałeś. I później się okazało – rzeczywiście. Jak myśmy byli w Policach, to nauczyciel wychowania fizycznego zaprowadził nas na wuefie do Szczecina nad Zalew Odrzański. I ten idiota młody, gówniarz, skakał do wody. A płytka woda – wyrznął głową o kamień. Ja patrzę – krew cieknie, a facet idzie do wody. To ja go za włosy – ciągnę do góry. Wyciągnąłem go na brzeg. I wołam nauczyciela. Nauczyciel przybiegł, przyłożył mu tak tu ręce i kichnęła mu woda! I on mi to mówi! I ja sobie o tym przypominałem. I on miał jedno sztuczne oko i ja sobie o tym przypominałem i mówi: popatrz! I wyciąga to oko! I on mówi: tyś mi wtedy życie uratował!

W każdym razie na tym zjeździe stoły były – na tych stołach stały chorągiewki, gdzie ci uczniowie byli. Był stół polski, węgierski, bułgarski i tak dalej tych państw. Myśmy nie wiedzieli, kto był tu w Polsce i nie poznawaliśmy się tak. I muszę ci powiedzieć, że ta młodzież, która była tu w Polsce i w Czechosłowacji, najlepiej miała jeśli chodzi o wykształcenie. Najlepiej wykształcona, najlepiej wychowana była spośród tych wszystkich krajów demokracji ludowych – najlepiej w Polsce i w Czechosłowacji. W Rumunii kiepsko, w Bułgarii kiepsko. Polska i Czechosłowacja. Brat mówi, że Czesi ich jak królewiczów przyjęli.

Jak na te czasy – w 1949 r., bieda była straszna w Polsce, wszystko zniszczone! Jak myśmy jeździli pociągiem do Międzygórza, jechaliśmy przez Wrocław. Tam wszystko wisiało – ściany rozwalone, na tych uzbrojeniach, na tych drutach ściany wisiały. Taki Wrocław był! Myśmy się przestraszyli, że my znowu do wojny przyjeżdżamy. Z wojny do wojny! Takie to było!

*Wangel Durlow  
From Greece  
to Poland*

Edited by  
Anna Kurpiel

**Wangel Durlow is one of 7.5 thousand Aegean Macedonians that came to Poland as a result of the Greek civil war. In his narration he mostly recounts events related to the war and mandatory re-settlement from his hometown in Northern Greece seen from the child's perspective – Mr. Durlow was 12 when he left Greece. His account provides us with information on daily life and customs of the Macedonians living in Greece, difficult beginning of his stay in Poland resulting from cultural and civilization differences between Poland and Greece as well as education and upbringing of Greek children in Poland.**

**Despite pleas of his parents, who settled in Yugoslavia after the Greek civil war, he has not decided to leave Poland where he graduated from school and married a Polish woman.**

**There is a long description of the first meeting with his parents which took place only after 16 years of separation. The account of travels to Yugoslavia again emphasizes cultural differences between Poland Macedonia, especially the relation of the wife of Mr. Durlow with his parents.**

**In spite of the fact that the story of Wangel Durlow touches upon difficult and sometimes traumatic matters, he is recounting it with a sense of humor and has perspective towards it; he is emphasizing the influence of kind-hearted people – Polish teachers, his parents-in-law, who many times helped him to handle unfamiliar Polish reality.**